NUMER 48. DNIA 29-go LISTOPADA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

W. DALECKA.

ŚWITEŹ.

Południe było pogodne i słońce z wyjaśnionego nieba sypało złote żary, kiedy dojeżdżaliśmy do Świtezi. Ani jej przeczuć. Schowana za wzgórza i laski, żadną oznaką nie przepowiada swego istnienia. Dawno minęliśmy piękne Rajce, wspaniałą Putkamerowską siedzibę i sielskie Miratycze i jakąś długą niezmiernie wieś; obok drogi przesuwały się wstęgi łąk z ukrytą w zaroślach rzeczułką i drobne laski i wzgórza — i wzgórza — i wzgórza bez przerwy, bez końca, powolne, faliste, lśniące ścierniem zdjętych zbóż, pełne szeroko rozlanej tęsknoty; a na nich „grusze z rzadka siedzą", przecinają się miedze zielone i wiją się drogi piaszczyste, a tu i ówdzie błyśnie szczyt starego kościoła niesmacznie przepaczonego na cerkiew.

Wreszcie z przyjemnem zadowoleniem witamy ukazujący się na lewo las większy, tak dziś rzadki w Nowogródzkiej ziemi. Nęci gęstwiną, chłodem, cieniem, no i tym zwykłym niewymownym urokiem litewskich lasów.

Lecz cóż to? Co za tuman błękitny bije z pośrodka lasu? Jakby pierścień leżał tam w głębi, czy jakaś czara rozchylała się na dnie, tak tam w gęstwinach coraz wyraźniej, coraz widomiej jakaś wgłębiona przestrzeń być musi, jakiś krąg olbrzymi, brzegami lasów ujęty, z którego biją te modre, sine opary i niewidzialnie łączą się z lazurem rozpostartego ponad niemi nieba.

— Co to jest? Co to być może? pytam, porwana tem niezwykłem zjawiskiem. A nasz woźnica unosi się zlekka z siedzenia, wyciągniętym batem wskazuje i obwieszcza uroczyście:

– Tam, gdzie ten tuman — to Świteź!

W niespełna półgodziny wjeżdżamy pod pierwsze drzewa boru. Zrazu ogarnia nas tylko mroczna zieloność; droga równa, gładka, prosta szeroką aleją przecina las mieszany, gałęzie starych grabów cienisto chylą się nad nami. Nagle — trudno okrzyk powstrzymać — z za gąszczu zamigotał, zajaśniał, zalśnił olbrzymi pas żywego błękitu, srebrzysta lama, jaśniejsza, świetniejsza stokroć niż rozbłękitniona kopuła nieba, bardziej cielesna, bardziej rzeczywista, grająca słonecznymi blaskami, jak żywy cud!

To Świteź! to Świteź...

Nagleni niecierpliwą chęcią, szybszym biegiem dojeżdżamy do znanego punktu leśnego — zasobnej karczmy i ubogiej chaty leśnika, gdzie tu, lub tam, zatrzymują się zwykle podróżni.

Stajemy; porzucamy wóz, płaszcze kurzem pokryte i biegniemy lasem ku wołającym nam wodom.

O, Świteź! kto nie widział twej toni modrej, przestronnej, szerokiej, kto po twych obszarach nie puścił wolno i oka i ducha, kto nie zasłuchał się w głosy twe ze dna bijące, nie spłynął się z ciszą w błękitach zawisłą, nie zamknął się w lasach twoich okolu — ten, Świtezi złota, ty serce Litwy, nie poznał najpiękniejszej perły, ży-

wej łzy tej smutnej krainy i może ducha jej nie wyczuł tak snadnie...

Jeśli na zwykłego podróżnika, który tu tylko pełen pietyzmu się zbliża, tak wielki urok ta przestrzeń wodna wywiera, to jakąż potęgą czaru musiała niegdyś uderzyć na serce młodego poety. Na zawsze zaczarowała mu myśli i serce, stała się na całe życie skarbnicą niewyczerpanych wrażeń piękna i ukochania.

Dziś on, ten wielki duch poety, piękna tym miejscom użycza; gdy się tak stoi nad brzegiem jeziora, gdy wzrokiem ten krąg niebieskich wód obejmie i las dokoła cichy, zadumany, i rozkołysanie i szept, i przypływ czystych fal, to jednocześnie nie można nie myśleć o tym wysokim, płomiennym duchu, który tu niegdyś tęsknił, marzył i płonął, a czuł i kochał, jak my, przyziemni, czuć i kochać w snach nawet nie potrafimy.

Przestronna, bo blisko milę w obwodzie mająca jest Świteź, a tak przedziwnie kształtna, jakby w pierścieniu ją kto zamknął. Otacza ją wał niewysoki a tak wąski, że niekiedy zaledwie na drobną ścieżkę starczy miejsca; za wałem legły moczary i błota, gdzieniegdzie widomie brudnem szkliwem zielonawej wody pokryte; zarośla gęsto się jeżą, nad niemi brzozy, olchy, graby wykrzywiają pogięte konary; gdzie suszej, zastęp iglasty zabiega drogę i rdzawe maszty sosen pną się potężnie ku górze, gdzieś pod błękitami rozchylając baldachimy głębokiej zieleni.

Drzewa nad sam brzeg schodzą; często spostrzedz można leśnego olbrzyma, któremu woda podmyła korzenie, wyszarpała z pod stóp ziemię, na której wzrastał; pochylił się, nisko pień nad wodą wyciągnął, wykrzywił się w męce, pół toni pod siebie zabrał — a koronę z nad wody podnosi w górę i wieńcem żywej zieleni jaśnieje światu. Gdzieniegdzie brzoza biała, rozpłakana, deszczem drobnych liści ściele się nad wodą, wygięła białą postać i ramiona wyciąga nad głębią.

Niekiedy fale czyste, jak źwierciadło, do samych stóp biegną, pluszcząc w biały piasek; miejscami daleką przestrzeń porosły szuwary, chwiejne na wietrze trzciny wodne. Ptactwo je objada, kołyszą się drobne owady, lub bujające łątki szklannem skrzydłem w locie potrącą.

Brzeg tworzy niekiedy wyrwy, głębokie wykroty; miejscami z pod pni olchowych, z pod plącza czarnych korzeni, wydobywa się jakiś odgłos głuchy. Przysiądz trzeba, że to jakaś gędźba podwodna, jakieś dalekie głosy tłumu coś gwarzą ze sobą, o coś się kłócą, czegoś się skarżą. Aż dreszcz przechodzi; zdajesz się słyszeć podziemną mowę ubiegłych stuleci. Utrzymuje się podanie, że Świteź podziemnemi drogami łączy się z Kołdyczewskiem jeziorem, o mil 6—7 odległem. Może to wody, uchodząc ze Świtezi, rozpowiadają tak jakieś dziwy.

Las stoi dokoła nienaruszony; jeszcze ręka bluźniercza nie tknęła odwiecznych gąszczy. W jego brzegach, jak czara pełna płynnego kryształu z błękitu i złota, legło jezioro. Z czary tej piły chyba stare bogi Litwy napój snów i baśni. Dziwna tu cisza — jakieś zaświecie, pełne spokoju i marzącej słodyczy, i blasków słońca, rozpryśniętych na każdej fali. Nie znajdziesz tu grozy wielkich wód, ani chłodu skalnych wybrzeży, lecz króluje jakaś rozkołysana poezja, rzekłbyś, poezja litewskich dusz, śpiewna, rzewna, wielka uczuciem i głębią. Miło tu marzyć i śnić; tam „na średniem jeziorze“ muszą w księżycowe noce pluskać świtezianki, tam, z głębiny wodnej w purpurowe zachody muszą bić dzwony zatopionego miasta.

I ja słyszałam te dzwony. Lecz nie z dawnego miasta płynęły ku mnie. Z podwodnych głębi dźwięczały głośno spiże, stujękiem, stubolem biły wołania spętanego w krwawych okowach narodu, leciały skargi śmiertelnych krzywd, nieludzkich krzywd, jęki storturowanych dusz i ciał. Niegdyś, tą wodą przeczystą książęca córka osłoniła lud swój od hańby niewoli — nas, morze krwi przelanej przed hańbą nie ochroniło; i coraz głębiej i coraz krwawiej żelazne pęta w dłonie i w dusze nam wchodzą, przemoc coraz nikczemniej czoła ku ziemi nam gnie. Zaprawdę, trzeba tam być i własnemi spojrzeć oczyma, aby zrozumieć i uwierzyć w ten ogrom niewoli i podłości.

I gdyby tu przyszedł — myślałam — gdyby tu stanął ten, któremu niegdyś Świteź księżycowe snuła ballady? Na strunach jego lutni zerwałaby się burza piorunowa czy jęk pękającego serca? Czy schodzi tu? czy widzi, jacyśmy dzisiaj? A potem, czy pada twarzą na niebieskim progu, i płacząc krwawemi łzami, przemieniony w jedną pieśń rozpaczy, czy błaga o miłosierdzie i — ach, o przebaczenie?

Świtezi! dziwne, dziwne nawiewasz ty dumy, słodkie jak czar, a jak jad gryzące...

W popołudniowych godzinach brzegi jeziora stały się bardzo ożywione, do czego przyczyniły się niemało dzień niedzielny i śliczna pogoda. Do uwiązanych przy brzegu łodzi coraz to inne zbliżały się gromadki: to rozbawionych chłopaków wiejskich ze śpiewką, hukaniem, nawoływaniem, to poważniejsze grupy z niewiastami i odświętnie postrojonemi dziewczętami. Zajeżdżały też przed karczmę wózki, karbrjolety, powozy, konie wierzchowe; coraz to nowe grupy panów, pań, surdotowców i szaraczków przesuwały się wśród lasu, puszczały się na łodzi lub „majówkowały" nad brzegami; jedni przybyli w celu towarzyskiej zabawy, inni, z pietyzmem, pokłonić się Mickiewiczowskiej Świtezi. Wypłynęliśmy na jezioro i my. Cicha, miła jazda. Możnaby tak cały dzień kołysać się na błękitnych głębiach i gdy las widzialnym dalom wznosi granice, myślą lecieć w niewidzialne.

Wiózł nas młody rybak, jak każdy rybak z powołania na śmierć i życie zaprzedany wodzie. Opowiada nam o bogactwie Świtezi, jaką to mnogość ryb wyciągają w czasie ogólnego połowu, który dwa razy na miesiąc się odbywa. Do pięćdziesięciu pudów ryby wówczas stąd dostają.

Nie zawsze Świteź jest tak cicha, jak dzisiaj. Są dni jesienne, burzliwe, chłodne, są noce czarne a wietrzne, kiedy huragan nagle się zrywa, fale piętrzą się, huczą, bryzgają pianą i „otwiera paszczę otchłań podwodna". Wtedy groźna śmierć stoi za łodzią rybaka, albo chciwie wyciąga ręce z otwartej toni. Ze zgrozą opowiadał te nocne jesienne wyprawy, ale też i z pewnością, że dotrwać im potrafi. Spytałam wreszcie o rusałki.

— O, są! odpowiedział żywo, z całą pewnością. — Lecz ukazują się tylko w nocy, jedynie z piątku na sobotę.

— A czyś je widział?

— Nie, jeszcze; ale pewno kiedyś zobaczę; — rzekł z mocną wiarą.

Pytam jeszcze o zatopione miasto.

— Tak, tak! — woła — jest tu na dnie to miasto — ot tam!

Lecz nie wie dlaczego zostało zatopionem, mówi tylko, że „było przeklęte".

Opowiadam mu treść „Świtezi" — słucha z zajęciem. Lecz kiedy spytałam, czy słyszał kiedy o wielkim człowieku, Adamie Mickiewiczu, który przebywał tu, kochał Świteź i pięknie w pieśniach ją opisywał — młody rybak odpowiedział na to mocno zmieszany.

— Niepiśmienny jestem, wiedzieć nie mogę; gdybym chodził do szkoły, nauczyliby mnie pewno.

— Właśnie w szkole nie nauczyliby cię pewno — odrzekłam; lecz on oczy tylko otworzył szeroko i wpatrzył się we mnie. Niepiśmienny, wiedzieć nie może...

Potem opowiadał jeszcze, jak był w Petersburgu, gdzie widział „prawdziwe morze", jak najmował się na barkach, jak go namawiano, aby pozostał i dawano duże pieniądze. Lecz nie został. A kiedy wszystkie opowiedział cuda tamecznego życia i gdy spytałam go:

— A gdzież jest lepiej, tam czy tu?

To mu błękitne oczy, jak jezioro zagrały nagle tysiącem iskier i zawołał wesoło:

— Niewątpliwie że tutaj! swoje strony...

Oto taką jest dusza litewska.

W zachodzącem słońcu żegnaliśmy Świteź z żalem, że nie możemy widzieć jej przy świetle księżyca. Lecz drogę mieliśmy daleką, należało śpieszyć z powrotem. Z mocnem postanowieniem wrócenia tu jeszcze kiedyś odjeżdżaliśmy, zapatrzeni w pobladłe srebrne wody, pogodne i czyste, a jeszcze bardziej ciche, ogarnięte słodyczą wieczornej zadumy. Czas jakiś z za lasów widniały nam jeszcze błękitne mgły bijące z jeziora, niby tajemnicze, dalekie widziadło; Świteź, wciąż większą dalą oddzielona, stawała się coraz bardziej mistyczną, coraz donioślejszą, a mamiącą czarem pamiątek, jak żywy myt narodu.

Aż wypłynęła z nad lasu wielka głowa złotego księżyca i w jeden blask ujęła ciemnię lasu i mgły Świtezi i całą krainę — dawnych snów, dzisiejszych łez...

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(22)

(Dokończenie.)

Miasteczko spało. Sklepy były pozamykane. Zaczął więc Karski od poszukiwania „hotelu“. Lecz przeszedł spory kawał błotnistej ulicy, zanim spostrzegł napisane wielkiemi literami na ścianie: „Numera“. Po schodkach przez wąskie wejście dostał się do niemniej wąskiego korytarzyka. Po obu stronach ciągnął się szereg zamkniętych drzwi, po za któremi słychać było śmiech i przyciszoną rozmowę. Długo chrząkał i tupał napróżno, zanim w końcu korytarzyka ukazał się rudy, brodaty żyd, w pantoflach, kratkowanych pantalonach i odpowiedniej marynarce.

— Co trzeba?

— Numer!

Żyd pchnął w milczeniu jedne drzwi i grzecznie pod łokieć wsunął w nie Karskiego. Ten nie mógł się cofnąć natychmiast, a tymczasem w pośrodku pokoju stała w grubym negliżu kobieta...

— Przepraszam!.. — bąknął.

— Owszem, owszem!.. Nic nie szkodzi...

Lecz Karski pchał żyda nazad energicznie, aż znalazł się w korytarzu, gdzie gospodarz otworzył drzwi następne. I w tym pokoju była kobieta, ale jeszcze spała. Znowu więc cofnął się Karski... Żyd otworzył trzecie drzwi. Po za niemi Karski znalazł... dwoje.

— Ale ja panu zaraz oswobodzę lokal! — mówił wesoło mężczyzna.

— Który więc numer? — pytał, śmiejąc się żyd.

— Wcale nie chcę!.. — wykrztusił Karski.

— Na cóż pan przychodził? Co to jest!? Karski już był na progu.

— Niech się pan wróci!.. Są jeszcze inne... Może która odpowiednia... — śmiał się za nim i żyd i mężczyzna i wszystkie kobiety, które na pół nagie i rozespane na korytarz wyległy.

W drugim „hotelu“ znalazł znowu samych mężczyzn. Dał więc poszukiwaniom pokój.

— Przebiedujemy jakoś!.. Niedługo może dzień, najwyżej dwa — rozmyślał, idąc na przystań, gdzie ruch był większy, niż w miasteczku.

Z błękitnego ujścia rzeki, wpadającej do Leny naprzeciw osady, płynęły ku niej jakieś statki żaglowe i wiosłowe, ciągnąc za sobą bruzdy roziskrzonej w blasku słońca fali. Zielony szmat lasu, otoczony amfiteatrem sinych gór, zamykał widnokrąg.

— Wszystko to bardzo ładne, ale... parostatek!.. — rozmyślał Karski, zbiegając z pochyłości.

Na przystani znów jakiś jegomość powtórzył mu stanowczo, że parostatku nie będzie.

— A tu napisane, że miał być przed tygodniem! Więc był już? — pytał Karski, wskazując na przybity na ścianie rozkład.

— Nie był! Więc co? Cóż to mię pan tak indaguje?.. Czy to ja pisałem rozkład?.. Nie był i nie będzie!... Powtarzam panu raz jeszcze... Niech pan to sobie, gdzie chce, zapisze!..

Odwrócił się i odszedł, gwiżdżąc wyzywająco.

Inni jeszcze mniej mu mogli powiedzieć.

— Panie, czy to na parostatki można liczyć... Są, albo ich niema! Przychodzą, albo i nie przychodzą!.. Żadnej nawigacji tu u nas niema! Wszystko gazeciarska blaga!.. Niech pan zwróci się do orylów... starodawnym obyczajem!.. Powolutku ale pewno...

— O, nie! Mam ich dosyć!..

— Więc pocztą!

Wracając do miasteczka, Karski rozważał, że aby sprzedać rzeczy, będzie się musiał pewnie zatrzymać dni kilka, nawet może dłużej... Nie miał nic takiego, coby posiadało stałą, sprzedażną wartość, trochę bielizny, trochę książek, stare jedwabne suknie żony, jego paltot zimowy... na wszystko to musiałby szukać amatora. Kupił więc w sklepie więcej, niż mu żona kazała, oraz wybrał sobie rewolwer. Ale gdy chciał naboje założyć, subjekt, pilnie uważający na jego ruchy, zabrał pospiesznie pudełko z kulami.

— Niech pan włoży rewolwer do kieszeni, wtedy pan dostanie naboje! — rzekł stanowczo.

— Dlaczego?

— Był tu taki. Subjekta zabił, drugiego zranił... za rewolwer nie zapłacił... W dodatku kasę zrabował!..

— Przepraszam, nie miałem zamiaru...

— To nic! Nic nie szkodzi! My się nie gniewamy, ale nie dajemy!.. Zabroniono raz na zawsze!..

Trochę stropiony wracał Karski pospiesznie, zapadając się od czasu do czasu w błotnistych wybojach, zręcznie zakrytych rozsuwającemi się łatwo deskami.

W cichym „hotelu" już się roiło. W przedpokoju pełno było znanych Karskiemu jeszcze z jakuckiej przystani postaci, wydało mu się nawet, że wśród nich mignęła posępna twarz Majdaniarza. Jakiś barczysty, podpasany krajką jegomość w futrzanej czapce na głowie, oglądał postawione tymczasem w korytarzu kufry Karskiego z miną współwłaściciela.

— To wasze rzeczy? — spytał, gdy Karski mimo przechodził.

— Moje... albo co?

— Dobre... okucie!.. — przecedził jegomość i splunął cienko przez zęby.

Za ścianą ktoś jęczał boleśnie.

Żonę znalazł Karski w strasznem wzburzeniu Siedziała na krześle za barykadą ze stołu i materacu, z zamkniętemi oczami i rękami opuszczonemi rozpaczliwie wzdłuż ciała...

— Znowu?.. Co ci jest? Co się stało?..

— Masz aby rewolwer? masz rewolwer? — spytała porywczo, otwierając oczy.

— Ależ mam! Uspokój się!

— Wciąż mi powtarzasz to samo, a nie wiesz, gdzieśmy trafili — to wertep... Lękam się, że stąd już nie wyjdziemy... Mąż gospodyni siedzi przez omyłkę w więzieniu... Ten chory, co jęczy, to postrzelony spirtonos... Sama gospodyni mi to opowiedziała, uprzedzając „oszczerstwa". A tu — słyszysz?.. — wskazała na sąsiedni, oddzielony przepierzeniem pokój.

Istotnie, tam po niejakim czasie rozległo się charakterystyczne trzaskanie obracanego bębna rewolweru. Ktoś widocznie się bawił w ten miły i niewinny sposób...

— Oleś, Oleś! Chodź tu! — wołała pani Anna na dziecko, które korzystając z nieuwagi matki, wychyliło się z za bezpiecznej barykady.

— Dobrze, żeś przyszedł. Gdybym jeszcze chwilkę znosić to musiała, czułam, że zaczęłabym szczekać, wyć, kąsać... Z tymi ludźmi inaczej nie można! Uchodźmy, uchodźmy, rzućmy im wszystko: rzeczy, kufry, pieniądze...

Karski nabijał rewolwer. Sąsiad, usłyszawszy jego trzaskanie, zaprzestał zabawki, a gdy wyszli na korytarz, wyjrzał ciekawie przez uchylone drzwi. Przeszli mimo zdziwionych ich nasrożonemi twarzami ludzi i rzuciwszy okiem na rzeczy, wyszli na ulicę.

— Na przystań!.. Tam zanocujemy w tej budce... Uproszę, ubłagam — mówiła pani Anna... Zawsze tam bliżej czegoś, co nasze.

Los jednak gotował im inną niespodziankę. Gdy stanęli na zrębie urwiska, skąd ulica spuszczała się na ukos ku rzece, spostrzegli nagle na błękitnej wodzie statek płynący ku przystani z kitą siwego dymu, wijącą się nad nim.

Karski coprędzej odprowadził żonę z dzieckiem na wybrzeże, poczem najął furmankę i wywiózł ostentacyjnie rzeczy z „wertepu", zapłaciwszy gospodyni w czarnem ubraniu dość słony rachunek.

W kilka godzin potem siedzieli w małej kajucie, wybitej ceratą i pili wesoło herbatę. Na twarzy pani Anny zakwitła znowu dawna słodycz, z oczów Stefana znikł dziki niepokój. Oleś pełzał swobodnie po wszystkich kątach.

Wieczorem, gdy statek bijąc potężnie kołami i sypiąc skry w miarowym oddechu, biegł wśród mierzchnącej rzeki, Karski pochylony nad maszynowym lukiem, patrzał z zachwytem, z tkliwością nieledwie na stalowe koła, korby i tłoki błyskające w elektrycznem świetle i dumał o dziwnym tworze ludzkim, o zaklętym w metal zbiorowym duchu i zbiorowych wysiłkach, który duszom swych twórców pozwalał się układać w innym, wyższym i lepszym porządku...

Z CHAT.

Praca.

Chato ty polska, chłopska chato nisko,
widzisz ty ciężki, twardy ludu trud,
od wieków patrzysz na wytrwania cud,
na strugę znoju, co krwawo połyska...

Pszczoła w misternie ulepiony wosk
składa miód latem, zimą wypoczywa;
chłop — czy mróz ciśnie, czy upalne żniwa,
kośba, czy siejba — wciąż w pracy wśród trosk.

Jako rok długi, w wichry i zawieje,
w jesienne pluchy, w wiosenne roztopy,
w zasieki świata składa trudu plon.

Zaś odpoczynek ma, gdy dłoń zdrętwieje,
kiedy zmartwieją utrudzone stopy,
gdy spokój grobu przyniesie mu zgon...

Zofja P.

Listy z Irlandji.

I.

Rozpoczynając kronikę życia irlandzkiego, musimy się cofnąć wstecz i w krótkości przedstawić pochodzenie i znaczenie ostatniej reformy „prawa o własności ziemskiej“ na zielonej wyspie, ostatniego *land Act*, który stronnictwo narodowe uzyskało od rządu i parlamentu angielskiego.

Kwestja agrarna w Irlandji, to kwestja uwłaszczenia dzierżawców irlandzkich. Szereg praw agrarnych, przeprowadzonych przez Gladstone'a, nadał dzierżawcom irlandzkim pewne prawo do — powiedzmy — „siedzenia na ziemi wydzierżawionej“. Właściciel nie mógł — po przeprowadzeniu tych praw — dowolnie wyrzucać dzierżawcy, nie mógł dowolnie podwyższać czynszu dzierżawnego; dzierżawca zaś mógł sprzedawać swe „prawo“ (do siedzenia na ziemi) osobom trzecim. A prawo to, które dzierżawca sprzedawał, zawierało oprócz prawa do siedzenia na ziemi, jeszcze prawo do indemnizacji za wszystkie ulepszenia, jakie dzierżawca, pracą swą lub kapitałem, wprowadził do zagrody arendowanej.

Tem niemniej los dzierżawców irlandzkich niewielkiemu uległ polepszeniu. Kilka wieków ucisku nie tak łatwo można zatrzeć prawem choćby najlepszem. Wskutek tego ucisku tylowiekowego zbiedniała ziemia, wykoszlawiła się cała gospodarka rolna, a i dzierżawca stracił rzutkość, przedsiębiorczość oraz żywość w pracy.

Zbiedniała ziemia, bo właściciel — landlord — dbał tylko o czynsz. Sam, bawiąc za granicami Irlandji, jak gdyby uciekając ze swem sumieniem od nędzy, która rozpostarła się w kraju, landlord nie myślał o swej ziemi, jeno o czynszu dzierżawnym, nie stawiał budynków, nie czynił melioracyj, nie dbał o inwentarz.

A gdy ziemia bez budynków, bez inwentarza, bez melioracyj z dzierżawcą wynędzniałym przestawała być wydajną, gdy i czynsz zalegać począł, ziemie orne zamieniono w pastwiska, oddawane w arendę wielkim hodowcom bydła. Zanikał pięknozłoty blask zboża, zanikały chaty, w których dawniej mieszkały liczne rodziny dzierżawców. Owce zastąpiły ludzi, a ziemia, karmicielka ludu, miała nadal tylko tuczyć bydło. Tylko na skrawkach ziemi, na bagniskach i w miejscach źle dostępnych zostali się nędzni dzierżawcy. Kartofle były głównym płodem, wydobywanym z ziemi, jedynym ludu pokarmem. A gdy kartofle się nie udały, tyfus głodowy załatwiał się z dzierżawcami, których komornik sądowy z chaty wyrzucić nie zdołał. W przeciągu pięćdziesięciu lat ludność Irlandji spadła z dziewięciu miljonów na 4 [illegible]. Część wymarła z głodu, dzielniejsi z kijem żebraczym opuścili kraj rodzimy.

Ci, co zostali, stracili wiarę w przyszłość, stracili pomysłowość i przedsiębiorczość. W chatach walących się, z mizernemi narzędziami pracy, bez inwentarza, gospodarkę prowadzili nędzną. I po co zresztą byłoby pracować, by ziemia stała się wydatniejszą, kiedy chciwe oko landlorda śledziło tylko sposobności, by czynsz podwyższać, by dzierżawcę rugować i zastąpić go więcej potulnym czynszownikiem. Dzierżawca zatem, by

mieć spokój i zapewniony dach nad głową, wolał, by powłoka nędzy skrywała przed landlordem bogate wnętrze ziemi.

Wobec takiego stanu rolnictwa i ludu rolnego w Irlandji, prawodawstwo Gladstone'a, jakkolwiek skierowane ku obronie dzierżawców, przyniosło tylko ulgę chwilową i nie stanowiło jeszcze lekarstwa na niedolę społeczną.

Rezultatem prawodawstwa Gladstone'a było to, że dzierżawca zjawił się z pewnem prawem do ziemi, na której siedział, ale która była własnością pana. Innemi słowy władanie ziemią stało się dwoistem: prawo właściciela spotykało się z nowem prawem dzierżawcy, co w chwilach kryzysu jak n. p. nieurodzaju wywoływało bezustannie nowe starcia. Jeżeli dzierżawca od 1871 roku przestał być zupełnie bezprawnym, jeżeli samowola landlord'a została ograniczoną, dzięki nowemu prawodawstwu, to reforma ta nie mogła wszelako przywrócić rolnictwu i stanowi rolniczemu równowagi i zdrowotności, utraconych w tylowiekowym ucisku. Pastwiska zostały pastwiskami, ubóstwo pozostało ubóstwem, a dzierżawca, zawsze nieufny i bądź co bądź zależny, nie przestał tęsknić do ziemi bez czynszu i bez landlorda. W roku zaś nieurodzajnym kwestja czynszu stawała się palącą i to tak dalece, że prawo ustanowiło rodzaj sędziów ziemskich, którzy mogli i mogą do dziś dnia zmniejszać czynsz, jaki dzierżawca sam zobowiązał się płacić.

Wobec tego zagmatwanego stanu rzeczy stawało się coraz bardziej widocznem, iż należy przystąpić do uwłaszczenia dzierżawców. Prawda ta zdobywała sobie wyznawców, niemal że z dniem każdym. Rząd nawet zachowawczy utworzył kredyt rolny, mający ułatwić dzierżawcom nabywanie zagród i udziałów arendowanych. Dzięki temu kredytowi 80.000 dzierżawców zostało właścicielami ziemi. Na tych 80.000 nowych gospodarstwach rolnych porządek zapanował zupełnie inny. Nowe budynki, ulepszona uprawa ziemi, wzrastający dobrobyt gospodarzy wzbudzały zazdrość sąsiadów, biednych, troskających się o zapłatę czynszu i niespokojnych o jutro dzierżawców.

Pod wpływem tych faktów i wobec nieustających zaburzeń agrarnych, kilku właścicieli ziemskich powzięło w 1902 roku projekt urządzenia konferencji z przedstawicielami dzierżawców. Pomimo opozycji największych właścicieli, zjazd przyszedł do skutku i uchwalił szereg rezolucyj o potrzebie uwłaszczenia dzierżawców drogą dobrowolnej parcelacji. Zjazd ten był pierwszem spotkaniem pokojowem właścicieli ziemskich i dzierżawców, — pierwszem zgromadzeniem spólnem, kończącem się w zgodzie. Otóż fakt takiej doniosłości musiał wpłynąć na rząd, który nie miał innego wyjścia, jak przedłożyć prawo o nowej reformie agrarnej dla Irlandji, prawo, oparte na rezolucjach wyżej wspomnianego zjazdu.

Celem nowego prawa jest ułatwienie sprawy uwłaszczenia dzierżawców irlandzkich. W innych krajach europejskich uwłaszczenie odbywało się drogą p r z y m u s o w ą, ale uwłaszczenie to było połączone mniej lub więcej z w y z w o l e n i e m włościan, jako stanu całego bądź od poddaństwa (t. j. niewoli osobistej), bądź też od pewnych czynszów, robocizn i t d. W Irlandji, gdzie w zasadzie panuje prawo krajowe (common law*) angielskie, dzierżawcy byli od wieków zupełnie wolnymi obywatelami z punktu widzenia prawa cywilnego. Wyjątkowa niewola polityczna, która ciążyła na dzierżawcy irlandzkim, nie była w XIX. wieku w związku ani z jego stosunkiem do ziemi, ani też tyczyła się jego praw cywilnych. Niewola ta była w związku z panującem ogólnem prawem państwowem, jak naprzykład upośledzeniem katolików i t. d., albo też z poszczególnem prawem państwowem dla Irlandji, która do dziś dnia w kwestji samorządu miejscowego i administracji krajowej nie cieszy się temi swobodami dla społeczności zbiorowej, jakie istnieją już w Anglji właściwej. Jednem słowem dzierżawca irlandzki nie tworzył s t a n u pod względem prawnym i był obywatelem zupełnie równouprawnionym. Stosunek jego do landlorda regulowała zasada kontraktu wolnego.

Złe zatem tkwiło w zastosowaniu zasady kontraktu wolnego do stosunków własnościowych ziemi, która wskutek przyczyn historycznych stała się m o n o p o l e m nielicznej garstki właścicieli. By leczyć zło, Gladstone nadał dzierżawcom prawa, które można by było porównać do praw czynszowników, „siedzących na ziemi", bądź na podstawie prawa obyczajowego, bądź też na mocy długoletnich kontraktów. Wykazaliśmy, że usiło-

*) Nie jest to prawo obyczajowe, jak czasami tłómacze polscy źle się wyrażają, ale prawo krajowe, spisane a częściowo nawet skodyfikowane.

wania Gladstone'a nie dopięły celu. Uwłaszczenie okazało się jedynem wyjściem z tego wiekowego zatargu agrarnego. Ale na uwłaszczenie przymusowe nie można było liczyć w czasie urzędowania gabinetu zachowawczego, po wojnie barbarzyńskiej w Afryce i w chwili oszołomienia ludności szowinizmem bezgranicznym.

Irlandzkie stronnictwo narodowe przyjęło zatem zasadę dobrowolnego uwłaszczenia, licząc na to, że właściciele ziemscy, zmęczeni walką niemal że półwiekową z dzierżawcami, zgodzą się przystąpić do reformy stosunków agrarnych w kraju. Stronnictwo zgodziło się, nawet w zasadzie na pewną bonifikację państwową, którą państwo miało wypłacać właścicielom, by ich zachęcić do rozparcelowania swych włości obszernych. Prawo uchwalone przez parlament, oparte jest, jak to zobaczymy, na zasadach, wyłuszczonych przez stronnictwo narodowe, jakkolwiek, co zresztą łatwo było przewidzieć, w szczegółach prawo głównie sprzyja właścicielom ziemskim.

By dzierżawcom ułatwić nabycie ziemi, państwo, tj. skarb angielski otwiera nieograniczony kredyt państwowy. Według obliczeń rzeczoznawców kredyt ten dojdzie do 4 lub 5 miljardów koron. Dzierżawcy, nabywający ziemię, mają prawo do redukcji czynszu dziś opłacanego, co jest rzeczą ważną, gdyż cena ziemi oblicza się jako kapitalizacja czynszu. Do ceny umówionej, państwo dodaje właścicielowi bonifikację, która wzięta jest wprawdzie z budżetu irlandzkiego, ale z funduszu przeznaczonego na żandarmerję i administrację. A wobec zasady, że im mniej żandarmów i starostów, tem większy w kraju spokój, bonifikacja ta, jakkolwiek wzięta z funduszu publicznego, nie wywołuje protestu ze strony dzierżawców.

Nie wchodzimy w szczegóły prawa, boby to nam za wiele zajęło miejsca. Powyższe streszczenie wypadków przeszłych ułatwi nam przedstawienie „czynów i myśli“ z dnia dzisiejszego.

S.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Z cichych tragedji* przez Adama Stodora. — Lwów 1904. Pod pseudonimem „Stodor“ kryje się jeden z młodych a utalentowanych ludzi, którzy sił swoich i lotu poetyckiego próbują na szpaltach tygodników i pism codziennych, tak długo, dopóki nabyty tą drogą rozgłos nie pozwoli na puszczenie w świat jednego lub drugiego tomiku rzeczy o szerszym zakroju i głębszej z pod serca dobytej treści. „Z cichych tragedji“ to druga samoistnie drukiem ogłoszona praca p. Stodora i podobnie jak pierwsza („Adoracja“) dowodzi, że talent autora, jest wybitnie lirycznym, a on sam przedewszystkiem poetą, tak wtedy gdy myśli swoje wykłada w formie wierszowanej, jak i w „cichych tragedjach“, gdzie prozą przemawia do uczucia czytelnika. Cztery nowelki, który się składają na ten ostatni zbiorek, odróżniają się od innych tego rodzaju utworów głębszem uczuciem i zamiarem wywołania takiegoż uczucia u czytelnika, postawionego wobec jakiegoś faktu psychologicznego, lub zagadki życiowej, zwykle z zakresu stosunków mężczyzny do kobiety.

F. J.

NOTATKI. *Wydawnictwo obrazkowe.* Wychodzi we Lwowie za inicjatywą prof. Amborskiego popularne wydawnictwo obliczone na szerokie koła, które albo czytać nie umieją, lub też czytać nie mają czasu, ani sposobności. Wydawnictwo to polega na tem, że w serjach składających się z 12 niewielkich obrazków barwnych, treścią swą uwagę zwracających, podaje się rzeczy patrjotyczne i religijne, a pod nimi odpowiedni tekst objaśniający, a obliczone jest na to, że nęcąc oko układem i farbami rozbudza tekstem ciekawość, zamieniając widza w czytelnika. Tak pojęte wydawnictwo staje się czynnikiem rzeczywiście cywilizacyjnym, gdyż wiadomo, że gdzie książka nie dotrze, wciśnie się obrazek, a gdzie się wciśnie roznieca jasne promienie oświaty. W ten sposób krzewi wydawca wiadomości z historji polskiej, z historji biblijnej, powiastki moralne i t. d. w cyklach udatnie wykonanych obrazków. Obok serji pomieszczonych na jednej karcie wydawnictwo wprowadziło również bardzo praktyczny system „parawanikowy“ używany niejednokrotnie w tego rodzaju nakładach.

Wydawnictwo to cieszy się słusznem poparciem Sejmu i Rady szkolnej krajowej, a poprzeć je powinna także i szersza publiczność w interesie tych, którzy nie znają jeszcze wartości drukowanego słowa i oświaty.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.